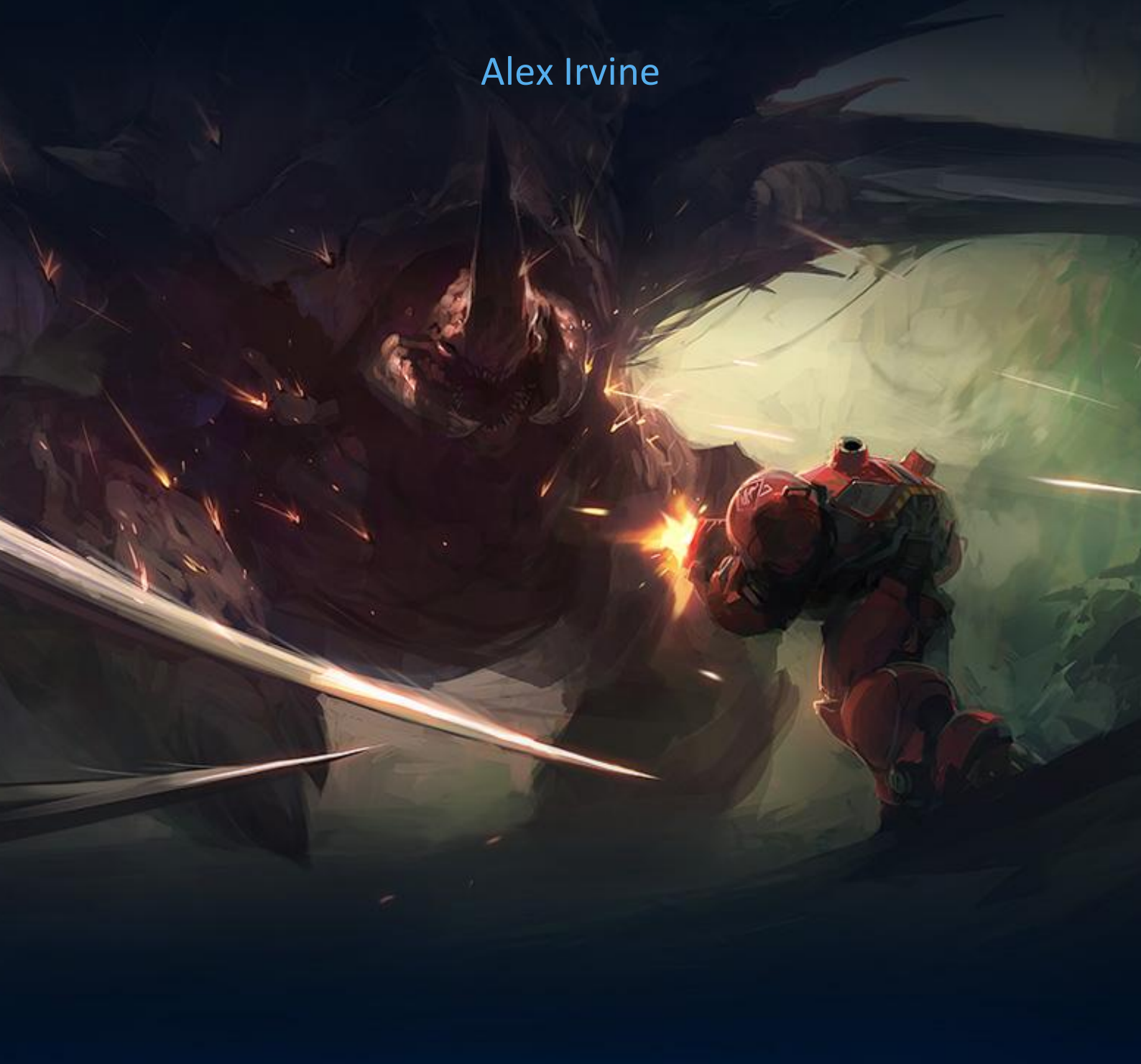




Tajemnica Vygoire

Alex Irvine



Pacjent: Sierżant Norwood Doakes z „Pożogi Siedem”, czyli 7. plutonu 4. dywizji marines. Znajdujemy się na krążowniku Scion, na orbicie planety Vygoire. To relacja z przebiegu misji i zarazem raport medyczny. Mówiąc krótko: stan pacjenta jest zły.

Jak bardzo?

Bardzo. Nie wykluczamy, iż będziemy musieli go zabić, aby zdobyć to, czego potrzebujemy.

Spróbujmy tego uniknąć. Ale jeżeli okaże się to konieczne...

No dobrze. Skupmy się na relacji z misji. Dam mu zastrzyk. Złagodzi ból i zapewni nam czas, aby dowiedzieć się, co zaszło. No i gotowe. To powinno wystarczyć, przynajmniej na razie.

*

Wylądowaliśmy na Vygoire pewni, że napotkamy na opór. Bez wahania wzorcowo wyskoczyliśmy ze statku desantowego – dwójkami, w jednosekundowych odstępach, jak to zwykła robić „Pożoga Siedem”. Powierzchnię planety pokrywała gęsta dżungla aż po horyzont, choć gdzieś tam można było dostrzec przecinki lub pełne mułu rzeczne zakola. Przegrupowaliśmy się właśnie w jednym z takich meandrów. Tam też dostaliśmy ostatnią transmisję danych pogodowych i map ze *Scionu*. Trafiliśmy w dziesiątkę – kompleks laboratoryjny znajdował się w dżungli, pół kilometra od naszej pozycji nad rzeką.

– Sierżancie, daj nam wycisk – powiedział jeden z moich mądrali.

Jestem chyba jedynym żołnierzem w plutonie, któremu nie sfajczono mózgu. Chłopaki ciągle mi przypominali, że skoro dołączyłem do marines, to muszę zadawać się z półgłówkami takimi jak oni. Kiedyś byliśmy na Mar Sarze i zacząłem mówić o historii – ot, żeby zabić czas. Żołnierze jednomyślnie stwierdzili, że jestem profesorem, ponieważ przeczytałem coś więcej niż tylko instrukcję obsługi broni. Czasami

naprawdę przypominają bandę dzieciaków. Powiedz nam to, wyjaśnij tamto, wytłumacz działanie tego, objaśnij, skąd się wzięło...

Ale nie robi mi to różnicy. Przynajmniej dopóki słuchają moich rozkazów; a trzeba przyznać, że słuchają. Jest ich dwudziestu siedmiu, a ja tylko jeden, ale każdy członek „Pożogi Siedem” wie, kto tu dowodzi: sierżant Doakes – i nikt inny, do jasnej cholery!

Nie przeszedłem szkolenia na temat Vygoire. Wiedziałem o niej tyle, ile powiedziano nam na odprawie: odległa planeta, odkryta niedawno, opanowana przez Rój trzy lata temu; dwa lata później oczyszczona z zergów. Obecnie znajduje się tutaj pojedyncza stacja badawcza z około setką pracowników. Dowództwo się nią zainteresowało, ponieważ wspomniana placówka od prawie sześciu miesięcy nie odpowiadała na rutynowe komunikaty.

Obserwacja z orbity nie ujawniła ani skrawka biomasy. Nawet jeśli zdjęcia kompleksu laboratoryjnego wykonane w dużym zbliżeniu pokazywały pewne uszkodzenia, to były one raczej spowodowane przez zjawiska naturalne. Ośrodek znajdował się u stóp wzgórza, a przez stok obok podniszczonych budynków ciągnęła się wyrwa jak szrama przecinająca dżunglę. Powstała pewnie na skutek lawiny. W każdym razie przyjęliśmy taką hipotezę.

Po przyjrzeniu się wyrwie z bliska nie mieliśmy powodów, aby sądzić inaczej. Zniszczone ściany uszkodzonych budynków otaczały skały, błoto i pniaki ze stoku. Łało jak z cebra i można się było domyślić, że osuwiska zdarzają się dosyć często w tych porośniętych dżunglą okolicach.

Kompleks laboratoryjny tworzyło sześć budynków, a pod ziemią znajdowały się co najmniej dwa dodatkowe poziomy – tak przynajmniej wynikało z planów, jakie otrzymaliśmy podczas odprawy. Budynek położony najbliżej wzgórza można było

spisać na straty. Wprawdzie dwa inne zostały częściowo zniszczone, ale dachy miały całe. Pozostałe budynki przetrwały w nienaruszonym stanie. Cała strefa była ogrodzona – z bramą dla pojazdów położoną na południowym zachodzie. Dwuśladowa droga ginęła w dżungli. Obszar ośrodka liczył może ze dwa akry. W pobliżu bramy znajdowała się działająca bateria raketowo-radarowa, do której podłączono wieżę komunikacyjną.

Wkroczyliśmy do kompleksu zgodnie ze standardowymi normami dotyczącymi zwiadu w terenie zabudowanym. Przeczesałiśmy każdy budynek i każde pomieszczenie. Kazałem Milnerowi i Jouvertowi poprowadzić drużyny bojowe przodem na rozpoznanie, podczas gdy reszta posuwała się za nimi jako wsparcie. Trzymaliśmy się blisko, bo nie wiedzieliśmy, czego powinniśmy się spodziewać. Wkrótce zyskaliśmy pewność, że laboratorium zostało opuszczone – ale od niedawna. Zasilanie było włączone i niektóre maszyny wciąż funkcjonowały, powoli realizując zaprogramowane procesy – przynajmniej w niezniszczonych częściach kompleksu. Nie wiem, co takiego robiły pracujące urządzenia. Rzuciliśmy okiem na główne terminale i dowiedzieliśmy się czegoś o projekcie badawczym. Skupiał się on na pewnej pospolitej roślinie, która wytwarzała zarodniki o właściwościach psychoaktywnych.

Poza tym naszą uwagę przykuło dziwne graffiti, wymalowane w całym kompleksie: para krzywych, przecinająca się w dwóch trzecich swojej długości. Przypominało przewrócone na siebie znaki nawiasu. Symbol był narysowany na pulpitych, wryty na ścianach... w kilku miejscach go namalowano... farba przypominała krew, ale podczas pierwszego przeczesywania kompleksu nie zatrzymaliśmy się, aby to zbadać.

W dwóch budynkach położonych blisko stoku natknęliśmy się na ludzkie szczątki. Doliczyliśmy się czterech osób, ale resztki były porzucane, tak że ciężko było podać dokładną liczbę.

*

Proszę go posłuchać. Zastrzyk sprawił, że zmienił się w robota.

Ale to lepsze niż jego wcześniejszy belkot, czyż nie?

To pani jest lekarzem, doktor Langridge. Proszę utrzymać go przy życiu. Niech mówi dalej. Wiele osób chce się zapoznać z wynikami tej misji.

*

W północnej części kompleksu laboratoryjnego znaleźliśmy szlak wiodący w głąb dżungli. Podążyliśmy nim i znaleźliśmy dowody potwierdzające doniesienia o inwazji zergów na Vygoire. Rozegrała się tu bitwa. Pośród szybko rosnących roślin wciąż można było dostrzec kawałki pancerzy i rozbitego grzechotnika. Najwyraźniej nasi chłopcy wycinali szlak przez dżunglę – ten sam, na którym się znajdowaliśmy – i zergi rzuciły się na nich z gęstwiny. Próbowałem sobie wyobrazić, jak to mogło wyglądać.

Jouvert udał się na zwiad i doniósł, że szlak prowadził w głąb wąwozu, jakieś sto metrów od pobojowiska. Wycofaliśmy się w pobliże kompleksu laboratoryjnego i zajęliśmy pozycję niedaleko bramy, po czym nawiązałem krótkie połączenie z krążownikiem *Scion*. Pomyślałem też, że jeżeli pracownicy ośrodka gdzieś się ukrywają, to zapewne rozmawiają na własnej częstotliwości. Kazałem więc Hamziemmu podłączyć się do wieży komunikacyjnej. Gdy czekaliśmy, aż skończy pracę i sprawdzi połączenie, podnieśliśmy wizjery. Z odczytów naszych „pum” – dla tych spoza korpusu: Podręcznych Urządzeń Nawigacyjno-Analitycznych – wynikało, że powietrze nadaje się do oddychania i nie zawiera niebezpiecznych związków lub

mikroorganizmów. Vygoire zaczynała wyglądać coraz lepiej. Atmosfera przyjazna dla człowieka, żadnych zergów. Skoro rosła tu tak bujna dżungla, to planeta musiała mieć niesamowite pokłady surowców. Pamiętam, że pomyślałem sobie wtedy: *Za sto lat stanie się stolicą tego sektora, kiedy tylko wielcy przemysłowcy przyślą tutaj swoich poszukiwaczy surowców i zobaczą, na jaką żyłę złota natrafili.*

– Uwaga pracownicy stacji naukowej na Vygoire! Mówi sierżant Norwood Doakes z korpusu marines Dominionum – powiedziałem do nadajnika. – Jeżeli słyszycie tę wiadomość, odpowiedzcie.

Cisza. Powtórzyłem wezwanie i czekałem.

– Nie żyją – stwierdził Milner.

– Ale co ich zabiło? Nie widzieliśmy nic groźnego w okolicy – odparł Jouvert. –

A zergi wypieprzyliśmy stąd już rok temu.

Przestałem nadawać wiadomość i powiedziałem:

– Jesteśmy tu po to, aby się tego dowiedzieć.

Podczas odprawy nie otrzymaliśmy żadnych informacji, że powinniśmy się strzec form życia na Vygoire. Ekosystem był jak z okresu permu, dominowały tu paprocie i owady. Ale naukowcom coś się jednak przytrafiło. Powiadomiłem *Scion* o naszym znalezisku.

– Tu krążownik *Scion*. Proszę zdać raport, sierżancie Doakes.

– Nie mam wiele do przekazania, *Scion*. Kompleks jest opuszczony. Na Vygoire nie odnotowano zaawansowanych form życia, zgadza się?

– Zgadza się.

– Wszystkie zergi zostały wyeliminowane?

– Zgadza się.

– Na pewno nigdzie nie zauważyliście śladów biomasy?

– Nigdzie, potwierdzam. Vygoire jest czysta jak łąka.

– W takim razie kontynuujemy zwiad – zdecydowałem. – Powiadomimy was, kiedy zlokalizujemy pracowników ośrodka i będziemy potrzebowali ewakuacji.

– Nie spieszcie się, „Pożoga Siedem”. Wycofujemy się z tego systemu w związku z nagłym wezwaniem. Wyznaczono nas do eskorty konwoju.

– Jak długo ona potrwa, *Scion*? Nasze zasoby wystarczą tylko na wstępny zwiad i powrót.

– Krótko. Powiadomimy was, kiedy powrócimy do systemu i ewakuacja będzie możliwa. Bawcie się dobrze, „Pożoga Siedem”. *Scion* bez odbioru.

– Krótko – parsknął Jouvert, gdy połączenie dobiegło końca. – Chyba powinniśmy zacząć wznosić domy. Sierżancie, możesz zostać nauczycielem.

*

Przesłałem na statek trochę bardziej formalną wersję raportu polowego wraz z zapiskami naukowców na temat zarodników. Nasze „pumpy” nie wykryły dotychczas nic niebezpiecznego, ale postępowalem zgodnie z moją zasadą: kiedy nie wiadomo, co jest ważne, należy brać pod uwagę wszystko.

Ponieważ nie nadeszła żadna odpowiedź od pracowników ośrodka, kontynuowaliśmy zwiad. W głąb wąwozu prowadziła dobrze widoczna ścieżka. Poszliśmy nią. Jar kończył się polaną. Na środku rosło drzewo – z wrytym wszędzie, gdzie się dało, symbolem zakrzywionych linii. To było jedno z największych drzew, jakie w życiu widziałem. Niższe gałęzie były połamane, a pień – cały podziurawiony. Ziemia wokół została zryta, jakby grasowało tutaj naprawdę duże zwierzę. Walały się też strzępy ciał – bez dwóch zdań należące do ludzi.

– Mówiłem wam: wszyscy zginęli – powiedział Milner.

– Nie wszyscy. W laboratorium pracowało około stu osób, albo i więcej. Nie mogłem dokładnie określić, do ilu ludzi należały znalezione szczątki, ale na pewno nie było ich aż tylu. Tak czy siak, coś ich zabiło.

Część mojego mózgu, która odpowiadała za myślenie taktyczne, przetwarzała informacje o terenie, jakie dostrzegłem w drodze od kompleksu laboratoryjnego aż do miejsca, gdzie się znajdowaliśmy. Rozejrzałem się, aby jeszcze lepiej poznać okolicę. Między drzewami na południowym skraju polany migotała woda – okazało się, że to okazałych rozmiarów jezioro. Wpadał do niego strumień płynący dnem wąwozu. Północna i wschodnia część polany przechodziła w gęsto zalesione, strome zbocze. Za nami znajdował się wąwóz, a dalej kompleks laboratoryjny – około pół kilometra na zachód-południowy zachód.

Po drugiej stronie – dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie wąwóz otwierał się na polanę – widać było inny szlak znikający w mroku dżungli. Prowadził chyba wzdłuż brzegu jeziora, a sądząc po tym, jak rosły drzewa po drugiej stronie, była to jedyna droga na polanę – nie wiadomo jednak, gdzie się zaczynała. Szlak był na tyle szeroki, że mogło nim iść obok siebie sześciu marines w pełnych pancerzach CMC, ale drzewa z obu stron uległy zniszczeniu. Mniejsze z nich zostały powyrywane z korzeniami lub złamane dwa lub trzy metry nad ziemią. Całkiem niedawno – uszkodzone gałęzie wciąż kołysały się na wietrze i wciąż wydzielały soki. Posłałem Chena, żeby przyjrzał się okolicy z bliska. Doniósł, że zauważył ślady. Duże ślady. Według niego należały do czworonoga. Pamiętam to słowo, ponieważ gdy tylko je wypowiedział, usłyszeliśmy ryk.

– Cholera, co to było? – zaniepokoił się Jouvert. „Pożoga Siedem” przygotowała się do walki – żołnierze podnieśli karabiny i zajęli pozycje w pięciometrowych odstępach, zgodnie z procedurą.

Dopiero później zrozumiałem to, co potem się wydarzyło. Jednemu z moich ludzi po prostu odbiło. Zaczął wykrzykiwać bezsensowne współrzędne, odrzucił karabin Gaussa i rzucił się na złamanie karku przez polanę, w kierunku, z którego dobiegł ryk. Krzyczał coś o bogach, ale nie wiem, jakich bogów miał na myśli.

Chyba wspomniał też o „Istocie Najwyższej”, ale wtedy nie wiedziałem, z jakiego powodu.

Zresztą nie miałem czasu o tym myśleć – z dżungli wypadł ultralisk i uderzył w sam środek naszej formacji.

Jeżeli nigdy nie widzieliście ultraliska, to musicie wiedzieć, że jest większy od cholernego czołgu, mało tego – głośniejszy i szybszy. Na domiar złego wysoki jak czterech marines w pełnych pancerzach i na tyle długi, że trzeba zacząć z nim walczyć, zanim jeszcze cały wyjdzie z dżungli. Ma dwie pary kos tam, gdzie u mitycznych smoków znajdują się skrzydła. Nazywamy je cesarskimi ostrzami. Nie wiem, z jakiego powodu, ale widziałem, co potrafią zdziałać. Szatkują pancerz marines jak kapustę. Można wpakować w ultraliska całą amunicję z C-14, aż stopi się lufa, i doprowadzi to ultrasa tylko do jeszcze większego szału. Co ja mówię – będzie wściekły jak diabli. Szał to dla niego codzienność. Ultraliski budzą się rano oszalałe z głodu. A kiedy już poszatkują ofiarę na drobne kawałki, tupną w nie i zmiażdżą, aby się upewnić, że nie żyje.

Pierwszy raz w życiu stanąłem naprzeciw ultraliska. Wcześniej wziąłem udział w symulacjach i przeczytałem wszystkie informacje na temat tego stwora, ale spotkać się z takim twarzą w twarz to zupełnie inna bajka. Na widok ultraliska do głowy przychodzi tylko jedna myśl: „Nie ma szans, żeby to zabić”.

Strzelaliśmy do bestii z wszystkiego, co mieliśmy, ale nie udało się jej nawet spowolnić. Kazałem chłopakom się ukryć – potrzebna nam była przynajmniej

minimalna osłona. W wirze walki zastanawiałem się, jak do cholery można pokonać coś takiego na otwartym terenie bez ciężkiego uzbrojenia. Doszedłem do wniosku, że nie można.

Zanim jeszcze ultralisk cały pojawił się na polanie, Singh stracił nogi, a chwilę później także głowę. Potem przyszła kolej na Morrisona, którego bestia nadziała na jedno z ostrzy i posłała w krzaki – w locie z rozerwanego pancerza wylewały się wnętrzności. Potem już się pogubiłem. „Pożoga Siedem” straciła trzydzieści procent składu, zanim reszta żołnierzy zdążyła sobie przypomnieć szkolenie i zastosować jedyną odpowiednią taktykę: strzelać dla osłony i brać dupę w troki. Wycofaliśmy się do miejsca, gdzie wąwóz był na tyle wąski, że ultralisk ledwo się mieścił. Bestia zatrzymała się, a my nie przestawaliśmy strzelać. W końcu zaczęliśmy zadawać jej jakieś obrażenia: niektóre kolce trafiały w połączenia karapaksu lub znajdujące się w nim szczeliny.

Niedługo potem ultralisk wycofał się na polanę – rycząc tak, że zagłuszał nasze C-14 – i udał się w kierunku, z którego przybył. Wtedy właśnie zauważyłem Twohy'ego. To on wpakował nas w cały ten bajzel, a teraz leżał przygnieciony przez drzewo, które przewrócił ultralisk podczas początkowej szarży. Bestia nie zauważyła rannego i w drodze powrotnej do dżungli zmiażdżyła mu górną część ciała na placek. Spod kopyta trysnęły krwiste resztki, niczym keczup z gwałtownie rozerwanego opakowania racji wojskowych. Maź poszybowała czerwono-różowym łukiem na rozorany grunt.

I wtedy właśnie graffiti nabrało sensu. To było ostrzeżenie. Przynajmniej tak mi się wydawało. Zakrzywione, skrzyżowane linie symbolizowały cesarskie ostrza.

W eterze panowało jedno wielkie zamieszanie. Każdy bełkotał. Zdawało mi się, że słowa rozmywają się w prymitywnej, nieświadomej i niemożliwej do zaspokojenia

furii. Byłem na wielu polach bitewnych i miałem do czynienia z wieloma różnymi istotami, ale nigdy wcześniej nie chciałem zabijać po to tylko, aby zabić – aż do tej pory. Vera, ty wiesz, o co mi chodzi, prawda? Byłaś tam. Pamiętam, jak powiedziałaś, że ciebie to nie dotyczy, ale to nieprawda. To jest wszędzie, nie można przed tym uciec...

*

Znowu zaczyna bredzić. Czy możemy dać mu kolejny zastrzyk, czy jeszcze za wcześnie?

Wie pani więcej o zarodnikach niż my. Niech pani nam powie.

Wiem niewiele więcej. Prawdopodobnie mu to nie zaszkodzi. W końcu to marine.

Jasne, ale to nie jest jeden z tych ogrów ze sfajczonymi mózgami.

Ale jednak marine. Proszę dać mu zastrzyk.

*

Co?

Sądziłyśmy, że jesteśmy na misji ratunkowej. Przeformowaliśmy się, pomogliśmy rannym na miarę naszych możliwości i nawiązaliśmy kontakt z krążownikiem, aby zabrał ciała poległych.

Choć *Scion* miał wrócić do systemu w ciągu paru godzin, to prośba o ewakuację została odrzucona. Otrzymaliśmy wiadomość, że krążownik nie był odpowiednio wyposażony do manewrowania w atmosferze, a transportowce nie zostaną wysłane, dopóki nie zajmiemy się ultraliskiem lub *bestia* sama wybierze się na wakacje na drugi kraniec planety.

– Ultras może przepołowić transportowiec – zwięźle podsumował oficer łączności. – Zgłoście się, kiedy go wyeliminujecie.

Szlag by to trafił. Taka była moja pierwsza reakcja – owoc znakomitego przeszkolenia i zmysłu taktycznego.

Wypowiedziałem te słowa – na głos – kiedy zostaliśmy ponownie zaatakowani.

Tym razem nie natarł na nas ultralisk, ale zaskoczenie było równie duże: z otaczających nas drzew poleciały włócznie. Kto, do cholery, używa włóczni przeciwko marines w pancerzach CMC? Napastnicy mogli jedynie zaszkodzić naszym uszom, kiedy włócznie z łomotem odbijały się od hełmów. Położyliśmy ogień zaporowy i wysłałem czterech żołnierzy w pobliże linii drzew, aby zajęli się miejscową formą życia, która upatrzyła sobie w nas tarcze strzelnicze.

Wrócili z trzema ludźmi w poszarpanych ubraniach, które były kiedyś fartuchami. Dwoma mężczyznami i jedną kobietą. Cała trójka bredziła o „Istocie Najwyższej”. Nietrudno było odgadnąć, o co im chodzi. Ale wspominali też z panicznym przerażeniem o jakimś doktorze.

Kim był ten doktor?

– Van Rijn! – krzyknął jeden z mężczyzn. Zupełnie oszalał – toczył pianę z ust, a na czole wystąpiły mu żyły, które mogły lada chwila pęknąć. Kiedy marines go przyprowadzili, ugryzł się w język do krwi. Tak bardzo chciałem, aby się zamknął, że omal go nie zastrzeliłem. Ale uznałem, że nie wypada dawać złego przykładu moim ludziom. Umówmy się – mogą mieć sfajczone mózgi, ale to nie są zwierzęta. Przynajmniej nie zawsze.

– Kim jest Van Rijn? – zapytałem.

– Doktor! Musimy wracać, żebyśmy mogli być następni!

– Następni do czego?

– Następni w kolejce do Istoty Najwyższej! – Jeniec pluł krwią przy każdym wykrzykiwanym słowie. Pożałowałem, że otworzyłem wizjer, aby go przesłuchać.

Cofnąłem się o krok.

– Pracowałeś w laboratorium? Z tym doktorem?

Jeden z moich podoficerów, kapral Blodgett, dodał:

– Z naszych informacji wynika, że Gerhardt van Rijn był dyrektorem laboratorium. Poza tym, sierżancie, czy ten przypadek nie przypomina Twohy'ego?

– Co takiego?

– No bo on też biegł w dół wąwozu, strzelał w drzewa i wrzeszczał.

Zrozumiałem, do czego zmierzał. Twohy zwariował i wbiegł prosto na ostrza ultraliska. Teraz natrafiliśmy na trzech jajogłowych, którzy chyba zamierzali zrobić to samo – o ile to mieli na myśli, kiedy mówili, że będą „następni w kolejce do Istoty Najwyższej”.

Tu naprawdę działo się coś niedobrego.

– Zabierz nas do niego – rozkazałem.

Nagle odezwała się kobieta, która do tej pory nie zabierała głosu.

– Poczekajcie. Ty tu dowodzisz?

– Tak, on tu dowodzi – wciął się Blodgett.

Zrobiła krok w moim kierunku, ale zatrzymała się, kiedy tylko sześć karabinów C-14 wzięło ją na muszkę.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała.

– Mów – odparłem.

– Chodzi o to... o to, że my... – zaczęła. Wyglądała na przestraszoną, ale nie z mojego powodu. – Proszę.

Kilku mężczyzn zaczęło chichotać. Wiedziałem, co sobie pomyśleli, ale nie chciało mi się komentować.

– Chodź tutaj – Odprowadziłem ją na bok. – No dobrze. Mów.

– Nazywam się Vera Langridge.

– Słucham cię, Vero Langridge.

– Byłam jedną z głównych badaczek na stacji. Zajmowaliśmy się wpływem biomasy zergów na ekosystem.

– Mów dalej.

– Właśnie wtedy dowiedzieliśmy się o zarodnikach.

Minęła chwila, zanim wszystko do mnie dotarło.

– Tych zarodnikach, o których wspominają raporty?

– Widziałeś nasze zapisy?

– Przeszukaliśmy laboratorium, zanim tu przyszliśmy. Co z tymi zarodnikami?

Vera spojrzała na dwóch otoczonych przez marines towarzyszy, którzy wciąż gędzili o tym, że muszą wracać do doktora, bo są następni w kolejce.

– Wy nie rozumiecie! – krzyknął jeden do żołnierza. Żołnierz wyglądał tak, jakby w ogóle nie chciał nic rozumieć.

– Jestem na nie odporna.

– Odporna? – słowo to wywołało wiele skojarzeń w mojej głowie. – Co takiego one powodują?

– Wciąż staram się tego dowiedzieć, ale... och, nie... ty i twoi ludzie... Czy podnieśliście wizjery zaraz po wylądowaniu tutaj?

Zastanowiłem się.

– Tak.

– A więc wy także jesteście zainfekowani.

*

Teraz prawdopodobnie pani także, pani doktor.

Nie, jestem wystarczająco odporna. Robię sobie testy co godzinę.

Dopóki dowództwo nie otrzyma wyników analiz, wszyscy i tak zostaniemy poddani kwarantannie. Kto wie, może nawet później, w zależności od tego, jak wypadniemy w badaniach...

Przezorny zawsze ubezpieczony. Nasz pacjent, Doakes, został zarażony przez zarodniki – ja jestem cała i zdrowa. Dopóki nie wyjaśnimy, dlaczego tak się dzieje, poddałabym kwarantannie wszystkich tu obecnych.

No to pospieszmy się i wyjaśnijmy, dlaczego tak się dzieje.

*

„Zainfekowany” – nie ma słowa, którego bardziej bym nienawidził. –
Zainfekowany przez co? – krzyknąłem do Very.

– To tylko techniczny termin – zapewniła. – Niekoniecznie musi coś znaczyć.

– „Martwy” też jest technicznym terminem i raczej coś znaczy. Czym więc jest ten cholerny zarodnik i co robi? – Przypomniało mi się to dziwne uczucie, jakie miałem pod koniec walki z ultraliskiem – podobne do halucynacji, ale o wiele bardziej intensywne; jakbym uzyskał dostęp do świadomości tak obcej, że nie można tego wyrazić słowami... Czym były te zarodniki? Czy rzeczywiście zostałem już zainfekowany? Wciąż trochę to czułem – tak jakby w mojej głowie istniała jakaś nowa przestrzeń, w której żyło coś, co nie było mną. Nadało to misji zupełnie nowy wymiar.

– Nie jestem do końca pewna – odparła Vera.

– Sierżancie – przerwał nam Haddawy. Odwróciłem się do niego. Okazało się, że gdy rozmawiałem z Verą o infekcji przez zarodniki, pojawili się pracownicy laboratorium. Stali w dużych odstępach i mieli na sobie strzępy pociętych fartuchów laboratoryjnych, podobnie jak Vera i jej dwóch towarzyszy. Z grupy wyróżniała się jedna osoba. Wysoki mężczyzna. Miał więcej włosów na brodzie niż nad czołem, a jego biały fartuch pozostał w dosyć dobrym stanie. Na czole nieznanego widniał symbol z

dwóch linii. Blizna odcinała się na tle zmarszczek – była różowa i chropowata, tak jakby wtarto coś w otwartą ranę, aby upewnić się, że się dobrze nie zagoi.

– Jestem Gerhardt van Rijn – przedstawił się. – Wy natomiast jesteście intruzami. Nie chcemy was tu. Natychmiast opuście Vygoire.

– Jak tylko dostaniemy to, po co tu przyszliśmy – odpowiedziałem.

– A niby cóż to takiego?

– Ty – wyznałem bezceremonialnie. – I cała reszta.

– To niemożliwe. Jesteśmy tutaj dla Istoty Najwyższej. Zwróćcie mi troje moich...

– Nie. Jeżeli nie chcecie wracać, to wasza sprawa. Ale mam tu rannych marines i zamierzam zabrać ich na wyżej położony teren i spadać stąd, zanim ultralisk tu wróci. Jeśli chcecie dać się pożreć, proszę bardzo.

– Ty nic nie rozumiesz! To Istota Najwyższa jest tu dla nas, a nie my dla niej. Każdy z nas – w zależności od swoich zasług – stopniowo staje się z nią jednością – van Rijn podniósł brodę i, rozłożywszy palce, położył dłoń na piersi. – Ja oczywiście zjednoczę się z Istotą Najwyższą po tym, jak dokonają tego wszystkie moje dzieci.

– Temu dziadowi odbiło – wypalił Haddawy, na tyle głośno, że wszyscy mogli usłyszeć. Od razu przyłożył sobie dłoń do ust, ale było już za późno.

– Wkrótce zrozumiesz – stwierdził wyniośle van Rijn. – Ty także spotkasz Istotę Najwyższą.

– Nie! – krzyknęło kilku pozostałych jajogłowych. – My jesteśmy przed nim!

– Cierpliwości, dzieci – zachichotał van Rijn. – Istota Najwyższa nie powróci tak szybko, wpierw sama musi bowiem dokonać zjednoczenia duchowego.

Z tego, co mówił doktor, wynikało, że ultralisk także był zainfekowany przez zarodniki. Gdy tylko zdałem sobie z tego sprawę, olbrzymi zerg znowu wypadł z dżungli.

Wciąż nie jestem pewien, czy stwór pożerał swoje ofiary, czy nie. Z materiałów otrzymanych na szkoleniu wynikało, że Rój stworzył ultraliska z roślinożernego brontolita. Ale widziałem też, jak ultralisk połykał kawałki moich marines. Może to był tylko przypadek, choć nie sądzę. Tak, jak nie wydaje mi się, że owa „Istota Najwyższa” była zadowolona, gdy przetrawiała pojedynczych czcicieli. Chyba preferowała bardziej obfite menu – nie mogła więc lepiej trafić, gdy na pełnym biegu wypadła spośród drzew.

Naukowcy, czciciele, czy kimkolwiek byli, zaczęli biec co sił w nogach. Żołnierze „Pożogi Siedem” działali jak jeden organizm – na zmianę strzelali, przemieszczali się, a potem także biegli w kierunku gęstej roślinności, jakby ich gonił sam diabeł.

Tym razem jednak ultralisk rzucił się nie na nas, lecz na cywili. Gdy szarżował na czcicieli, jego ostrza przebijały się przez dżunglę, kosząc duże połacie drzew i poszycia. Dopadł jednego z naukowców, zatrzymał się, po czym rozerwał nieszczęśnika na więcej kawałków, niż byłem w stanie policzyć. Wokół niego utworzyła się burza wirujących liści, krwi i wyrwanych kwiatów, rozświetlona przez przenikające przez sklepienie dżungli promienie słoneczne. Wstrzymaliśmy ogień w obawie, że moglibyśmy postrzelić zbyt wielu naukowców, ale gdybym mógł cofnąć się do tamtego momentu, zastrzeliłbym ich bez wahania.

Świeża ofiara, posiłek lub – jak stwierdził dr van Rijn – „zespolenie duchowe” nie zatrzymały ultraliska. Bestia podniosła łeb i zobaczyła – a raczej wyczuła – dwóch naukowców, na których natrafiliśmy w pierwszej kolejności. Obaj walczyli o prawo do

wiwisekcji, której chcieli się poddać, i nie ruszyli się o krok z miejsca, gdzie ich zostawiliśmy. Ultralisk spełnił ich marzenie jednym, szybkim cięciem cesarskich ostrzy. Resztki ciała i mięśni przylepiły się do wypustek na karapaksie zerga i zadyndały.

Mógłbym przysiąc, że znowu widzę jak przez mgłę i słyszę w głowie jakieś głosy... W tym samym czasie ultralisk znowu zaczął potrząsać łbem – nie tak, jakby coś atakował, ale raczej jakby miał we łbie coś, od czego chciał się uwolnić.

Wszyscy czciciele się zatrzymali – niektórzy płakali, inni upadli na kolana. Wtedy rozbrzmiał głos ich guru.

– Nie, nie, nie! – krzyczał van Rijn. – Nie wszyscy naraz!

– „Pozoga Siedem” – powiedziałem na otwartym kanale. – Ultras zatrzymał się na przekąskę. Spadamy stąd, ale już! Punkt zborny w kompleksie laboratoryjnym.

Przy całym zgiełku w mojej głowie ciężko mi było formułować słowa, a na dodatek miałem dziwne wrażenie, że wszystko, co się działo, było jedynie złudzeniem. Poczulem w ustach krew, choć nie odniosłem żadnych ran. Wtedy nie miałem jednak czasu o tym myśleć, bo przedzierałem się przez dżunglę do wąwozu, ale teraz wydaje mi się... Zaraz... Znowu to czuję.

*

Nie, nie – nie dawajcie mu kolejnego zastrzyku. Musimy się temu przyjrzeć.

On bredzi, nic więcej.

Zespala się duchowo, panie komandorze. To efekt działania zarodników.

Zespala duchowo? Z czym?

Na razie z niczym, bo nie ma tu niczego, z czym mógłby się zespolić. Został poddany kwarantannie, stąd to majaczenie.

Czyli także inni byli zainfekowani przez zarodniki...

Tak, w tym także ultralisk. A więc również reszta zergów. Teraz pan rozumie, dlaczego to takie ważne?

*

– Zgłoszcie się, zgłoszcie się, tu sierżant Norwood Doakes z oddziału marines „Pozoga Siedem”. Nadaję z Istoty Najwyższej.... Co?

Co takiego?

No tak, z laboratorium. Wycofaliśmy się do kompleksu i zeszliśmy na poziomy pod ziemią, po czym sprawdziliśmy stan osobowy oddziału.

Niektórzy z naukowców wkroczyli do budynku równo i w szeregu, jakby uczestniczyli w jakiejś uroczystej procesji – na jej czele maszerował oczywiście van Rijn. Żaden z nich nie wyglądał, jakby dopiero co uniknął śmierci. Byli spokojni. Gdy ich zobaczyłem, przypomniałem sobie, co doktor mówił o zjednoczeniu duchowym.

– Co, do cholery, zrobiliście z tym ultraliskiem?

– Sugerujesz, że zmieniłem Istotę Najwyższą? – Van Rijn spojrzał na mnie z pobłażliwą wyższością. – To niemożliwe. Ona jest tym, czym jest, a my chcemy się z nią zjednoczyć. Kiedy już do niej dołączymy, wszyscy przez chwilę będziemy z nią zespoleni duchowo. Ale musimy dokonać tego wspólnie. W przeciwnym razie – jeśli tylko kilka osób uda się do Istoty Najwyższej – wrażenia będą zniekształcone. Zespolenie nie będzie doskonałe. – Uśmiechał się teraz jak małe dziecko, które dopiero co pojęło temat lekcji. – Jak już zresztą mogliście się przekonać.

– Skąd ta pewność?

Van Rijn popukał się palcem w skroń.

– Poczulem to... tak jak i ty – powiedział, po czym przybrał surowy i wyniosły ton. – Wasza obecność rozdrażniła Istotę Najwyższą, która stała się nienasycona w swym głodzie.

Poczułem przemożną chęć, aby go zastrzelić.

– Nie wydaje mi się, aby ultraliski były wybredne – stwierdziłem tylko. – One rodzą się nienasycone. Później jest tylko gorzej.

Pokręcił nosem.

– Myślisz tak, ponieważ wasze pierwsze wrażenia były bardzo mylące. Sami jesteście temu winni, ale nie można wam wypominać, że myślicie w taki sposób. My jednak – rozłożył ręce tak, jakby chciał objąć swoich zwolenników – pojmujemy, czym jest doskonale zespolenie. Dwa księżycy już niedługo znajdą się w koniunkcji, a wtedy ponownie udamy się na spotkanie z Istotą Najwyższą.

Naukowcy nie powiedzieli już ani słowa i jak weszli w procesji, tak i wyszli.

– Vera – odezwałem się do badaczki. – Dwa księżycy w koniunkcji? Co on plecie?

– Zapewne zauważyłeś, że Vygoire ma dwa satelity? – Rzeczywiście zwróciłem na to uwagę, ale nie wydawało mi się to czymś wyjątkowym. – Obiegają planetę z różną szybkością, ale co dwadzieścia trzy dni oba znajdują się dokładnie jeden za drugim. To wtedy van Rijn rozpoczyna rytuał.

Nie było to więc nic nadzwyczajnego, chyba że uległo się zarodnikom.

– I to wypada dziś?

Kiwnęła głową.

– Dziś wieczorem.

Ciężko mi było uwierzyć, że ultralisk czekał sobie beczynn timer, aż miną dwadzieścia trzy dni.

– Co takiego robią, gdy nie ma rytuału?

– Ukrywają się – Zadrzała. – Trzymają się razem. Najwyraźniej zarodniki wpływają na ośrodki mózgu, które odpowiadają u ludzi za rytualne zachowanie.

– Ośrodki mózgu na to wpływają? – Haddawy nie krył zdziwienia.

– Nawet sobie nie wyobrażasz jak – odpowiedziała Vera. – Zarodniki mają na nie wpływ, czego skutki – w połączeniu z tym, w jaki sposób tworzą więzi pomiędzy umysłami – są... nieprzewidywalne i wyjątkowo potężne.

– Dobra, dosyć tego. Mamy uratować tych szajbusów? – zaciętrzewił się Jouvert. – Oni nie chcą być uratowani. Pora wezwać transportowce i popatrzeć z orbity na spektakl z użyciem atomówek. Racja, sierżancie?

– Jeszcze nie teraz. – Pokręciłem głową. – Nie możemy wezwać transportowców, jeżeli w okolicy kręci się ultralisk. Z kolei *Scion* nie może wejść w atmosferę. A wiesz, jaka jest celność z orbity. Trafienie ultrasa będzie także dla nas oznaczać zejście z tego świata.

Musiała upłynąć chwila, zanim marines z „Pożogi Siedem” zajarzyli i doszli do właściwego wniosku.

– Więc musimy tu zostać, dopóki nie upolujemy ultraliska. – podsumował Iger.

– No na to wygląda, chłopaki – potwierdziłem.

– Jasna cholera – dał o sobie znać Haddawy.

*

No i dostała pani informację z pierwszej ręki, od naocznego świadka. Jak długo mamy jeszcze czekać?

Tak długo, jak będzie trzeba. To może wszystko zmienić.

Jeśli o mnie chodzi, to powinniśmy zrobić z tego miejsca postnuklearną pustynię.

Pał sześć naukowców i kwarantannę.

Nic z tego, mamy w rękach prawdziwy skarb. To nie jest organizm zergów, ale może je kontrolować. Czy zdajecie sobie sprawę, co to oznacza? Nie mówiąc już o zastosowaniu bezpośrednio na polu walki... I kto wie, gdzie jeszcze.

Dobrze, doktor Langridge, ale jeśli chce pani pójść z tym do Dowództwa, potrzebujemy pełnego raportu Doakesa – i to szybko.

Rozumiem. Standardowe stymulanty już nie działają. Musimy trochę poeksperymentować i spróbować czegoś innego.

Proszę zastosować środki, jakie uzna pani za stosowne, jeżeli tylko mogą one przynieść oczekiwane skutki.

*

– Dobra – oznajmiłem. – Mam plan.

Wiedziałem, że każda placówka badawcza ma zbiorniki ze sprężonym wspanem wykorzystywanym jako źródło energii. Tak się złożyło, że niektórzy z moich ocalałych marines to prawdziwie złote rączki, choć z przewinieniami i kryminalną przeszłością. Postanowiłem więc zmienić te zbiorniki w bomby i umieścić je w zwężeniu u podnóża kamiennego stoku, w miejscu, gdzie zakręcał do wąwozu, a następnie wysadzić zbocze i zasypać ultraliska, kiedy następnym razem podejmie pościg z polany.

W mniej niż dwie godziny wyciągnęliśmy zbiorniki z wspanem i przymocowaliśmy do nich kilka granatów oraz „pumę” – przekonfigurowaną na zdalny detonator, po czym część oddziału umieściła ładunki w szczelinie dokładnie u podnóża wąwozu, pod skalnym nawisem, na którym wyryto symbol skrzyżowanych cesarskich ostrzy. Jeżeli bomba i lawina nie zabiją ultraliska, przynajmniej będzie musiał się trochę powspinać, aby nas dopaść, zamiast szarżować na otwartym terenie. Nasz jedyny problem stanowił van Rijn. Starał się nam przeszkodzić – jego „dzieci” kładły się przed wąwozem lub tworzyły ludzkie łańcuchy. Odepchnęliśmy ich bez większych problemów, ale musiałem przy tym odrzucić z milion formalnych próśb o zastrzelenie natrętów, abyśmy mogli się zająć polowaniem na ultraliska.

– Istoto Najwyższa – śpiewali czciciele. – Istoto Najwyższa, przybyliśmy do ciebie.

Ultraliska nie było widać.

– Gdzie on polazł? – Haddawy nie krył zdziwienia.

– Kogo to obchodzi? – prychnął Jouvert.

Nie mógł lepiej tego ująć.

Odkąd usłyszeliśmy o zarodnikach, żaden z moich marines nie podniósł wizjera. Mogliśmy zobaczyć na własne oczy, jaki wpływ miał długi kontakt z zarodnikami na naukowców. Spytałem o to Verę.

– Przedłużony kontakt może mieć silniejsze skutki, ale nie musi – powiedziała.

– Nie miałam czasu tego sprawdzić.

Chcieli, aby do nich wróciła – a raczej van Rijn tego chciał. Po tym, jak czterech marines na mój rozkaz odsunęło jajogłowych i podjęło się ich pilnowania, stojący pomiędzy nimi doktor wbił oczy w Verę. Jego spojrzenie wyrażało pożądanie, rozczerowanie i ciekawość zarazem. Nic dziwnego, że nie chciała wracać.

– Ładunki rozmieszczone – zameldował Haddawy. – Teraz tylko pozostaje nam czekać na ultraliska.

– No to pora na mnie – powiedziałem.

Wyszedłem z założenia, że skoro van Rijn regularnie przywiązywał kogoś do słupa, aby złożyć ofiarę ultraliskowi, to stwór musiał wiedzieć, kiedy się odbywał ów wydumany rytuał. Wszystko dzięki zarodnikom. Może zerg pamiętał właściwy moment, ponieważ się tego nauczył, wytworzył się u niego odruch Pawłowa lub podobna reakcja. Postanowiłem więc pójść na dół, wyciągnąć ultraliska na polanę, a następnie wycofać się co sił w nogach do wąwozu.

– Nie musisz tego robić, sierżancie – powiedział Jouvert.

– To nie jest zadanie dla ochotników – odparłem. – Zajmę się tym.

No i się zająłem. Poszedłem sam do wąwozu, na sam środek polany – pełnej porozrywanych ciał moich marines. Oparłem się o słup i czekałem. Z góry dochodziły okrzyki i śpiewy naukowców. Zacząłem trochę żałować, że nie rozwaliliśmy całej tej bandy. Spojrzałem w niebo i dostrzegłem dwa księżyce, które znajdowały się niemalże w linii.

Nie minęło dużo czasu. Najpierw poczułem przyływ adrenaliny, a następnie pojawiło się to przecucie, kiedy wiesz, że masz przewagę i sekundy dzielą cię od zadania śmiertelnego ciosu. Serce biło mi jak szalone i zacząłem się pocić. Chciałem podnieść wizjer, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem.

Jeszcze zanim zobaczyłem ultrasa, usłyszałem ryk, a pod moimi okutymi w pancerz CMC stopami wyczułem drżenie ziemi, wywołane przez siłę uderzeń potężnych odnóży. Ale nie ruszyłem się o krok. Po pierwsze, zdawałem sobie sprawę, że muszę skłonić stwora do pościgu za mną; po drugie zaś, poczułem zespolenie duchowe. W głowie słyszałem śpiewy świrów van Rijna, a ryk ultraliska wydawał mi się wezwaniem pochodzącym od boga.

Odzyskałem przytomność umysłu, kiedy chwilę później zerg wypadł z dżungli na polanę.

Natychmiast zacząłem biec. Gdy minąłem bomby wespanowe, krzyknąłem:

– Odpalajcie za dziesięć sekund! Powtarzam, dziesięć sekund! Poślizgnąłem się na niestabilnym żwirze, rozpryskując wodę przedostałem się przez płytki strumień, aby w końcu na stromym stoku ustanowić rekord galaktyki w biegu o życie w pancerzu marines.

Na początku miałem nad ultraliskiem znaczną przewagę. Teraz jednak bestia była tak blisko, że gdybym zwolnił i zaryzykował spojrzenie za plecy, zapłaciłbym za to

życiem. Mogłem przysiąc, że czułem jej oddech na karku, ale równie dobrze mogło to być wrażenie spowodowane przez zarodniki. Moi ludzie zaczęli strzelać z pozycji u szczytu wąwozu – rozmieściłem ich tam, żeby siła wybuchu nie spowodowała lawiny także na nich. Prędkość wylotowa kolców z C-14 utrzymuje się przez kilkaset metrów, więc słyszałem, jak pociski uderzały w skórę ultraliska.

Przyznam się do czegoś szalonego – podczas biegu czułem pragnienie, żeby się zatrzymać. Słowa „Istota Najwyższa, Istota Najwyższa, Istota Najwyższa...” rozbrzmiewały mi w głowie jak mantra i sprawiały, że pragnąłem zjednoczenia duchowego.

Pragnienie to rozwiało się jednak w momencie wybuchu. Fala uderzeniowa rzuciła mnie twarzą na ziemię – na tyle mocno, że z wizjera hełmu posypały się odłamki. Podniosłem się z trudem i wznowiłem bieg, dopóki nie znalazłem się poza zasięgiem deszczu skał i kawałków drzew, po czym odwróciłem się na pięcie i zobaczyłem, jak nad wąwozem kłębi się chmura dymu, która wszystko zasłaniała.

– „Pożoga Siedem”, zgłoś się – powiedziałem. – Ktoś coś widzi?

– Teraz? – prychnął Haddawy. – Nikt nic nie widzi. Podejdę bliżej... Okej, w podczerwieni widać zanikające ślady cieplne, ale to prawdopodobnie skały, które rozgrzała eksplozja.

– Chodzi mi o ultraliska, żołnierzu! Mam gdzieś skały! – krzyknąłem.

– Wiem, sierżancie. Co do ultraliska... nie wiem – urwał. – Nie widzę go, ale zergi i tak nigdy nie mają wyraźnych śladów cieplnych.

Na szczęście zaczęło padać i towarzyszący burzy wiatr zaczął rozpędzać kłęby dymu.

– Stójcie – rozkazałem żołnierzom i sam też się zatrzymałem, aby spojrzeć w dół wąwozu, skoro widoczność się poprawiła.

Wybuch doprowadził do zaważenia się w jednej trzeciej ścian wąwozu. Gdybyśmy mieli podniesione wizjery, nawet z odległości trzystu metrów z pewnością popękałyby nam bębny – tak silny był huk eksplozji. W oddali wciąż można było usłyszeć jego echo, kiedy deszcz rozproszył resztki dymu. Nie widziałem ani ultraliska, ani w ogóle żadnego ruchu.

Wspiąłem się do reszty oddziału, zajmującego pozycję tuż nad wejściem do wąwozu. Można było stamtąd dostrzec lej po bombie wspanowej.

– Jouvert – nakazałem. – Rozejrzyj się.

Jouvert skierował się na prawo, do najbliższego kamiennego występu. Zanim tam wszedł, sprawdził, czy wybuch nie poluzował skał. Widziałem, jak mój żołnierz skanował okolicę na różnych częstotliwościach. Był dobrym zwiadowcą.

Z dna wąwozu doszedł łoskot osuwających się po wybuchu głazów.

Potem Jouvert rzucił skaner i zaczął biec.

Tuż za nim pojawił się ultralisk.

Otworzyliśmy ogień, kiedy zerg zaszarżował wzdłuż ściany i rozplątał Jouverta jednym machnięciem swoich ostrzy. Szczątki nie dotknęły jeszcze ziemi, a już kolce z C-14 wbijały się w głowę i przednie odnóża ultrasa.

Naukowcy – wykorzystawszy okazję, że czterech strażników wolało walczyć z ultraliskiem niż stać na warcie – rzucili się biegiem do zerga, krzyżąc: „Istoto Najwyższa!”. Do zerga, rozumiecie? Pobiegli na śmierć.

W całym tym zamieszaniu otrzymałem wiadomość:

– „Pożoga Siedem”, alarm ewakuacyjny. Udajcie się natychmiast do pierwszego lądowiska.

– Zostaliśmy zaatakowani – odpowiedziałem. Poprzednio rozmawiałem z innym oficerem. Mogłem go zapytać, dlaczego otrzymaliśmy to wezwanie, skoro wcześniej

powiedziano nam, że go nie otrzymamy, ale podobne przepychanki z oficerami sztabowymi były jedynie stratą czasu. – Udamy się na lądowisko jak najszybciej. –
Znajdowaliśmy się niecały kilometr od niego.

– Określ rodzaj ataku, „Pożoga Siedem”.

– Ultralisk.

– Powtórz.

– Ultralisk, do jasnej cholery! Ten sam, o którym informowaliśmy was wcześniej! *Scion*, mówiliście, że *Vygoire* jest czysta. Jakim cudem mam tu porozrywanych na strzepy marines!?

Oficer łączności zignorował ostatnią uwagę – tacy jak on robili to zawodowo.

– Określ status pracowników laboratorium.

Ultrask zbliżał się do naszych pozycji. Zauważyłem, że wybuch i lawina zadały mu pewne obrażenia. Ze zdruzgotanych fragmentów karapaksu wypływała posoka, a lewe tylne odnóże było wyraźnie złamane.

– Skupcie ogień na tym odnóżu – rozkazałem.

– Co mówisz, „Pożoga Siedem”?

– Nie mówiłem do was, *Scion* – Zacząłem strzelać do ultraliska, lecz – pomimo wszystkich poprzednich doświadczeń – tym razem pozwoliłem, aby podszedł zbyt blisko. Stał dęba nad grupą „dzieci” van Rijna, rozłożył swoje cesarskie ostrza i runął na ludzi, tnąc na prawo i lewo. Jajogłowi wzniesli ręce, aby go powitać. Wokół zabrzmiały okrzyki: „Istota Najwyższa!” – mogłem je usłyszeć także w głowie, a nawet w komunikatorze. Wznosili je niektórzy z moich marines, wciąż strzelający do ultraliska. Obryzgały mnie resztki podwładnych van Rijna. Pamiętam, że Vera stała na skraju pola bitwy, w oddaleniu – wystarczająco blisko kompleksu, aby w razie potrzeby

się tam schronić, a zarazem na tyle niedaleko, aby obserwować przebieg walki.

Analizowała.

Zapewne jak przebiegało zespolenie duchowe.

– Ewakuacja jest niemożliwa, jeżeli ultralisk jest w pobliżu, „Pożoga Siedem”.

Przerywamy misję.

Przynajmniej pod tym względem zgadzał się z poprzednim oficerem łączności.

Nie miałem jednak czasu, aby kwestionować jego decyzję, ponieważ zamach cesarskich ostrzy zwałił mnie z nóg i wgniół bok mojego pancerza na tyle mocno, aby złamać mi żebra. Strzeliłem do zerga i odturlałem się – dokładnie w momencie, gdy przypominająca kolumnę odnóże uderzyło z hukiem w ziemię tuż obok mojej głowy, zasypując mi wizjer błotem i krwią. Myślałem, że zrobi mi sieczkę z mózgu, tak jak wcześniej Twohy’emu.

Ale ultralisk przeskoczył nade mną i pobiegł dalej. Gdy mnie mijał, wcisnąłem C-14 w zagłębienie za przednim lewym odnóżem i strzeliłem długą serią. Z rany trysnęła fontanna posoki, ochlapując ostatnie miejsca na wizjerze, których wcześniej nie pokryły błoto i krew. Nie byłem w stanie nic dostrzec, ale słyszałem – jego gniew i ból. Siłą rozpędu ultras wyrwał mi karabin z rąk, wybił sobie drogę wśród moich ludzi i skierował się do czcicieli. W głowie słyszałem, jak giną.

Podniosłem się, wytarłem błoto i posokę z wizjera – w samą porę, aby zobaczyć, jak ultralisk rzuca się na swojego najbardziej oddanego wyznawcę.

– Istoto Najwyższa! – rozległ się długi, wzniosły krzyk van Rijna. Mógłbym przysiąc, że słyszałem to nawet wtedy, kiedy ultralisk poszatkował już ciało doktora na osiem lub dziesięć krwistych kawałków krzyżowym cięciem, bo cesarskie ostrza zawadziły o siebie. Zazgrzytały przy tym tak paskudnie, że aż zacisnąłem zęby, kiedy audiosensory pancerza CMC przetworzyły ten dźwięk.

Czyciele traktowali ultraliska jak zadurzone nastolatki. Rzucili się do niego: niektórzy chwyтали się boków stwora, inni kładli mu się pod nogi. Zerg zabijał ich tak szybko, jak tylko był w stanie, podczas gdy niedobitki „Pożogi Siedem” strzelały dalej. Marines pogodzili się z tym, że wyznawców ultraliska należy spisać na straty, i walili do bestii ze wszystkiego, co mieli do dyspozycji.

Przez cały ten czas słyszałem w uszach głos głównej pilotki transportowca:

– „Pożoga Siedem”, natychmiastowa ewakuacja. Powtarzam: natychmiastowa ewakuacja. *Scion* pyta, ilu pracowników laboratorium przeżyło.

Wstałem i podniosłem karabin C-14. Ociekał fioletową posoką ultraliska. Nie wiedziałem, czy będę mógł strzelać.

Nie miało to jednak specjalnego znaczenia, bo ultralisk zdychał.

Myślałem, że dla mnie też wybiła ostatnia godzina. Wszystko wydawało się otoczone jaskrawą aurą, oczy mi łzawiły, a gdy spojrzałem w dół, zdałem sobie sprawę, że już nie stałem. Świat wokół mnie zawirował i zobaczyłem wszystko z perspektywy zdychającego ultraliska, który starał się przetrwać za wszelką cenę, czerpiąc siły wyłącznie z szału w najczystszej formie. Wydaje mi się, że zacząłem coś bełkotać do komunikatora i wiem, że pilotka transportowca nadal do mnie mówiła. Słyszałem jej głos i czułem obecność ultraliska... – byłem świadomy jego obecności w mojej głowie.

Obejrzałem się. Nogę miałem skrzyżowaną w złą stronę, a pancerz chroniący rękę był wykrzywiony i wgnieciony. Pazury ultraliska – każdy tak gruby jak mój nadgarstek – wycięły w metalu spiralny wzór.

– Nadepnałeś na mnie – powiedziałem do zerga.

Bestia nie odpowiedziała – była zbyt zajęta umieraniem. Przekręciłem się na bok i walnąłem pięścią w „pumę”.

– „Pożoga Siedem” – powiedziałem... a przynajmniej tak mi się wydawało. – „Pożoga Siedem” prosi o zjednoczenie duchowe.

Chciałem powiedzieć „o ewakuację”, ale czyżby to... myśli zdychającej Istoty Najwyższej zaczęły przeze mnie przemawiać?

No tak – to była wina zarodników. Nie wiem, w jaki sposób one działają. Po prostu staram się wam opowiedzieć, co zaszło, bo lepiej, żebyście zawrócili statek i spalili tę pieprzoną kulę dżungli i zarazy, nim pojawią się następne ofiary. Zarodników nie widać, ale mam je... więc wy też możecie być zarażeni.

Skąd pewność, że skoro Vera nie pragnęła zespolenia duchowego, to także nie jest nosicielką? Pozwólcie, że dokończę moją historię. Nie, nie – nie potrzebuję kolejnego zastrzyku. Nie ważcie się...

Zabrałem ją na statek razem z niedobitkami „Pożogi Siedem”. Z trzydziestu, którzy wyruszyli, wróciło zaledwie dziewięciu. Gdzie jest reszta moich ludzi?

Zaraz usnę... Vera, Vera, nie pozwól im...

Istoto Najwyższa, słyszę cię.

*

Znów majaczy. Czy przeżyje podróż? Czy przetrwał ktoś z pracowników laboratorium? Będziemy potrzebować więcej danych.

Mamy mnóstwo danych w sekcji medycznej. Powiedziałam już lekarzom, aby ograniczyli się do utrzymania marines przy życiu. Nie chcemy uśmiercić zarodników.

Dr Langridge, jest pani jedyną osobą odporną na dążenie do zjednoczenia duchowego wywoływane przez zarodniki.

Jak na razie.

Doakes jest podłączony do systemu podtrzymywania życia. Wspomina o pani za każdym razem, gdy odzyskuje przytomność.

Już mówiłam – został poddany kwarantannie, co jest wyjątkowo trudne przy wzrastającej aktywności zarodników. Kiedy przeniesiemy go do bezpiecznego ośrodka w cywilizowanej części sektora, będziemy mogli...

Ma pani próbkę, czyż nie? Czy to wystarczy do przeprowadzenia pani badań?

Panie komandorze, otrzymałam rozkaz...

Dr Langridge, mam gdzieś pani rozkazy. Nie wiem, co pani zrobi z tymi zarodnikami, ale będzie musiała wystarczyć ilość, jaką ma w sobie Doakes. Scion przeprowadzi natychmiastowy atak nuklearny na Vygoire.

Panie komandorze, nalegam, aby...

Dr Langridge, wspominała pani o rozkazach. Od kogo?

Nie mogę powiedzieć.

I tak zupełnie przypadkiem jest pani odporna na zarodniki? Kiedy bada je pani na zlecenie kogoś, kogo tożsamości nie może mi pani wyjawić?

Chyba już czas skończyć tę rozmowę, komandorze.

On ma rację – gdzie jest reszta jego ludzi?

Zajęliśmy się nimi. A teraz, jak mówiłam, uważam tę rozmowę za zakończoną.

Ten człowiek, którego tam trzymacie, walczył z ultraliskiem. Dla pani.

Dla mnie? To przecież marine. Zrobił, co mu kazano. Tak jak ja robię to, co mi kazano. A to naprawdę ważne – bardzo, bardzo ważne. Doakes to teraz tylko nosiciel. Nic więcej. Proszę zdać sprawozdanie dowództwu. I zapewnić, że Vygoire nie stanowi już problemu. Niech się pan też upewni, że laboratorium będzie gotowe na nasz powrót.